

BIEG PO SZCZĘŚCIE - POCZĄTEK

To opowieść o dorastaniu, o dalszych, młodzieńczych latach łobuza, którego nieco ucywilizowała już szkoła podstawowa. Kończył się piękny, beztroski czas, kiedy jeszcze za nic się nie odpowiadało. Nadchodziła pora, kiedy trzeba było wybierać i ruszać w dalszą drogę, drogę, która mogła zaważyć na całym przyszłym życiu.

Nie bardzo wiedziałem, jak mam potraktować bohatera tego opowiadania. Większość czytelników znających opowiadanie „Jak ucywilizować dzikusa” zapewne szybko się zorientowała, że to ja byłem tym dzikusiem, i że były to moje własne wspomnienia. Lecz nie chcę pisać tylko o sobie, nie o to mi chodzi. Może to byłem ja - ale inny, bardzo dawny, zupełnie różny od tego człowieka, którym jestem dzisiaj.

Wahałem się więc, czy dalej traktować tego bohatera jak dawnego siebie, czy też przedstawić go jak kogoś bardzo mi bliskiego, stojącego tuż obok, ale bezimiennego? A może nadać mu fikcyjne imię, którym będę mógł swobodnie posługiwać się opowiadając o jego dalszych przeżyciach.

W tej rozterce pomógł mi przypadek. Moja praca zawodowa wymagała sprawdzania konstrukcji różnych, starych budynków mieszkalnych, w związku z czym musiałem je starannie przeglądać dosłownie od piwnic po dach. Pewnego razu, sprawdzając konstrukcję więźby dachowej jednej z opuszczonych, starych kamienic, dostrzegłem leżącą na podłodze, w kącie strychu, stertę starych książek i zeszytów. Mając trochę czasu zacząłem je przeglądać. Były to zniszczone podręczniki i zeszyty szkolne oraz mocno wytarte, klasyczne dzieła naszej literatury, wydane w latach sześćdziesiątych. Kolejno odkładałem je na bok. W pewnym momencie moją uwagę zwrócił zeszyt inny od pozostałych. Gruby zeszyt oprawny w skórę z wytłoczonymi motywami roślinnymi okazał się dziennikiem, który ktoś prowadził w latach siedemdziesiątych.

Kierowany zwykłą, ludzką ciekawością schowałem te zapiski do teczki i wróciłem do przerwanej pracy. Dopiero późnym wieczorem, w domu, obejrzałem sobie to znalezisko. Zeszyt zawierał ponad 200 stron. Pomiędzy kartki powsuwane były jeszcze różnego rodzaju notatki. Zacząłem czytać. Czytałem, czytałem i nie mogłem się od tej lektury oderwać. To niesamowite, ale przeczytałem wszystko w ciągu jednej nocy, z wypiekami na twarzy, z olbrzymią, narastającą ciekawością i dziwnym, ciepłym uczuciem radości.

To była szczerza prawda o tamtych latach. Także o moich latach młodzieńczych. Autor dziennika okazał się moim rówieśnikiem. Cechy jego charakteru, sposób myślenia i odczuwania były bardzo podobne do moich ówczesnych odczuć i wierzeń.

Dla bohatera tych zapisków był to okres pełen nadziei na przyszłość, czas ufności i wiary w ludzi. Okres beztroskich lat humoru, młodzieńczej brawury a zarazem jakiejś dziwnej, i już nietypowej w dzisiejszych czasach, nieśmiałości i skromności. Przecież wtedy dopiero kształtowały się nasze charaktery i poglądy na życie.

Tak bardzo spodobały mi się te znalezione zapiski, ich świeżość i uczciwe, bezpośrednie spojrzenie na tamte czasy, że postanowiłem przemieszać je z własnymi wspomnieniami.

Całość przedstawię bez upiększania, bez dorabiania ideologii i bez zbędnego mędrkowania. Wtedy, w tamtych czasach, ja również rozpoczynałem dopiero mój bieg po szczęście. Dlatego nie nadam bohaterowi tej opowieści żadnego fikcyjnego imienia. Bohaterem pozostanie „On”, młody człowiek, z którym każdy czytelnik może próbować się identyfikować.

Teraz patrząc z perspektywy wielu, wielu lat jakie upłynęły od tamtych chwil, można uważać, że to wcale nie był start, lecz co najwyżej jakieś przedbiegi lub rozgrzewka przed dorosłym życiem, ale wówczas na pewno nikt z nas tak nie myślał! Każdy dzień był ważny! Może to były zaledwie początki, ale bez tych początków nie byłoby ciągu dalszego.

Wspomniane, poprzednie opowiadanie kończy się w momencie, kiedy dzikus przestał już być biednym, zahukany, wstydliwym małym chłopcem - szkołę podstawową ukończył z bardzo dobrymi wynikami, był pełen nadziei i śmiało patrzył w przyszłość. Marzyła mu się wielka kariera dziennikarska - chciał być reporterem, takim jak Ernest Hemingway. Chciał też pisać o Dolnym Śląsku, o swoich stronach rodzinnych, o odkrywaniu jej tajemnic i uroków.

Dlatego odważnie złożył dokumenty w znanym wrocławskim liceum ogólnokształcącym i tam przystąpił do egzaminu wstępnego. Był pewien swego, nie dopuszczał żadnych trudności. A tu nagle na egzaminie kwalifikacyjnym nastąpiła katastrofa – padł na dyktandzie – narobił zbyt dużo błędów. Owszem zdał, lecz byli lepsi od niego i w efekcie nie został przyjęty do liceum. Liczba miejsc była ściśle ograniczona – powojenny wyż demograficzny wymuszał ograniczenia w naborze.

Koniec marzeń. Strach i bezradność. Przecież nie pójdzie do zawodówki, naprawdę chciał się dalej kształcić. Jednak większość szkół średnich zakończyła już nabór uczniów. Dzisiaj rodzic złapałby za telefon i szybko sprawdził, gdzie jeszcze pozostały wolne miejsca. Wtedy trzeba było pytać na miejscu; jeździli więc z matką od szkoły do szkoły.

Okazało się, że wolne miejsca pozostały jeszcze tylko w Technikum Budowlanym. To był ratunek. Podstawowe przedmioty (matematyka, język polski) miał zdane i zaliczone, ale w technikum trzeba było jeszcze zdać egzamin z rysunku.

To przynajmniej nie było dla niego trudnością. Do narysowania był jakiś dzbanek porcelanowy czy fajansowy – poradził sobie z tym bez najmniejszych trudności. Rysowanie zawsze było dla niego przyjemnością. Ołówek, kredki czy akwarele pozwalały tworzyć coś z niczego, wypełniać pustą kartkę obrazami powstałymi w wyobraźni lub odwzorowanymi z otaczającego świata. Rysował od najmłodszych lat - już w pierwszych klasach podstawówki powstawały karykatury i postacie z dziecięcych bajek. Niedosięgniętym wzorem był wspaniały polski grafik i ilustrator Jan Marcin Szancer, który zilustrował setki książek, między innymi Baśnie Andersena, Bajki Brzechwy oraz wspaniałą opowieść Marii Konopnickiej „O sierotce Marysi i krasnoludkach”. Szancer ilustrował także poważniejszą literaturę: teksty Morcinka, Żeromskiego, Mickiewicza.

W taki sposób młody chłopak trafił do Technikum Budowlanego nr 2 znajdującego się w dzielnicy Stary Zdrój, przy ulicy Kombatantów numer 20. Był rok 1967.

Technikum zajmowało okazały, reprezentacyjny gmach wznoszący się na wzgórzu, w niedalekim sąsiedztwie kopalnianego szybu „Chwalibóg”. Do budynku prowadziła wznosząca się dość ostro w górę ulica Kombatantów, odbijająca dołem od ulicy Batorego w pobliżu jej skrzyżowania z ulicą 22-Lipca, główną ulicą Starego Zdroju.

Budynek szkolny robił wrażenie. Wzniesiony w 1928 roku według projektu architekta Otto Rogge'go pełnił rolę nowoczesnej, jak na tamte czasy, dużej szkoły świeckiej z równie imponującą salą gimnastyczną. Do wnętrza budynku szkolnego prowadziły centralnie umieszczone, kamienne schody terenowe, sięgające do poziomu wysokiego parteru.

Duża, eklektyczna budowla, przedstawiająca w rzucie kształt wydłużonego prostokąta, miała pełne podpiwniczenie i 4 nadziemne kondygnacje użytkowe. Ostatnia kondygnacja mieściła się już częściowo pod stromym czterospadowym dachem a wyżej był jeszcze strych. Elewacje

wykonane zostały z doskonale wypalanej ceramicznej cegły, tylko partie cokołowe wykończono kamiennymi blokami z piaskowca. Elewacje były urozmaicone, ale przy tym harmonijne i uporządkowane, z licznymi elementami wystroju architektonicznego, takimi jak wyraźne pilastry, biegnące przez całą wysokość budynku, podkreślające frontowe, 3-drzwiowe wejście główne z półkolistymi naświetlami i balkonami na pierwszym piętrze. Z tyłu podobne pilastry wydzielały pas elewacji z pionowym szeregiem okien, gdzie we wnętrzu mieściła się główna klatka schodowa. Dodatkowymi elementami ozdobnymi były kamienne medaliony ze znakami zodiaku umieszczone w trójkątnych obramowaniach po obu stronach centralnego wejścia. Reprezentacyjny charakter budynku podkreślała jeszcze czworokątna wieża wznosząca się pośrodku dachu, z niewielką galerijką obiegającą jej szczyt.

Wewnątrz budynek miał typowy układ korytarzowy z jedną, szeroką, centralną klatką schodową i bocznymi schodami na obu końcach korytarzy. Po obu stronach centralnych schodów rozmieszczone były sale lekcyjne.

W czasie wojny funkcjonował tam ponoć szpital polowy, a po wojnie, w latach 1946-1947, w budynku mieścił się punkt zborny dla Niemców, których wysiedlano z Wałbrzycha. Później działały tam placówki dydaktyczno-oświatowe. Przed Technikum Budowlanym, przez szereg lat w budynku funkcjonowało Liceum Pedagogiczne.

Wracajmy jednak do naszego ucznia. Prawdę mówiąc dwa pierwsze lata zmarnował nie przykładając się zbytnio do nauki. Rodzice powoli rezygnowali z marzeń, że ich syn zostanie „kimś” – dobrze, że przynajmniej będzie miał jakiś konkretny zawód. Dzięki wspaniałym nauczycielom z podstawówki wiedział znacznie więcej niż większość jego nowych kolegów i koleżanek. Podkład ze Szkoły Podstawowej nr 29 im. Tadeusza Kościuszki był tak dobry, że na początku tego nowego etapu edukacji ślizgał się po prostu z okresu na okres, bez większego wysiłku. Efekty takiej postawy okazały się marne; począwszy od trzeciej klasy, musiał nieźle nadganiać.

Oczywiście zawarł nowe przyjaźnie. Jego najbliższym przyjacielem został Janusz, mieszkający na Poniatowie - peryferyjnej dzielnicy miasta. Z kolegami z podwórka powoli tracił kontakt, oni też poszli różnymi drogami. Ostatnim akordem wspólnych podwórkowych działań było zorganizowanie zabawy w kolędników. Ktoś znalazł opis takiego przedstawienia wraz z dialogami rozpisanymi dla poszczególnych postaci. Każdy z chłopców dostał swoją rolę i wykuł swój tekst na blachę. Były tam takie postacie jak król Herod, Śmierć, Anioł i Diabeł. On oczywiście robił za diabła. Miał straszną, czerwoną maskę z rogami i widły. Dźgał tymi widłami króla Heroda i wykrzykiwał: „Za twe psoty, za twe zbytki idź do piekła boś ty brzydki”. Obchodzili dom po domu, mieszkanie po mieszkaniu, odgrywając te tradycyjne scenki, śpiewając kolędy i składając życzenia pomyślności w Nowym Roku. Dostawali za to słodycze i drobne datki. Udało się zebrać nawet nieźłą sumkę.

To był ostatni raz, kiedy dał się jeszcze kolegom namówić do wspólnych działań.

Nie podobało mu się, że w każdej grupie zaraz pojawiał się jakiś przywódca, który koniecznie chciał podporządkować sobie pozostałych. On wolał chodzić własnymi ścieżkami, nikomu się nie podporządkowując. Ceną za taką niezależność była samotność.

Na szczęście z Januszem rozumieli się doskonale. Od początku, jeśli to tylko było możliwe, siedzieli w jednej ławie.

Ojciec Janusza miał zakład stolarski. Pewnego razu, chcąc zarobić trochę własnych pieniędzy wymyślili, że przez trzy dni popracują w tartaku przy załadunku drewna na samochód i potem przy wyładunku tego drewna w zakładzie stolarskim.

To było ich pierwsze spotkanie z prawdziwie ciężką pracą fizyczną. Poczuli na własnej skórze smak takiej pracy. Obaj wcześniej pracowali w ogrodzie i pomagali rodzicom kiedy była taka

potrzeba, ale to była całkiem inna praca. Tu nie było mowy o żadnej zabawie, liczył się czas i nikt nie traktował ich ulgowo. Już pierwszego dnia wracając do domu nie czuli rąk i pleców. Zresztą zysk był też niewielki.

W czasie tych pierwszych dwóch lat nauki funkcję dyrektora Technikum pełniła jeszcze Janina Jacuńska, dyrektorka likwidowanego Studium Nauczycielskiego, które poprzednio istniało w tym samym budynku. Była to bardzo oryginalna osoba. Przed wejściem do budynku szkoły, już na zewnętrznych schodach, sprawdzała długość włosów chłopców (czy nie za długie) i długość dziewczęcych spódniczek (czy nie za krótkie). Tarcze szkolne musiały być starannie przyszyte do szkolnych ubrań a nie tylko przyczepione agrałką, lub szpilką. Ta z góry skazana na porażkę, „chora” walka z młodzieżową modą skończyła się wraz ze zmianą dyrektora. Nowy dyrektor, Kazimierz Rosiński, z wykształcenia historyk, trochę odpuścił. On ich rozumiał, umiał z nimi rozmawiać, choć kiedy było trzeba, potrafił być bardzo stanowczym. Był to przecież czas hippisów – „dzieci –kwiatów”. Jednym ze znaków poparcia i udziału w tym młodzieżowym ruchu była moda na długie włosy u chłopców oraz mini spódniczki u dziewcząt. Modne były kolorowe stroje, dziewczyny na nogach nosiły kozaczki a marzeniem chłopaków były dżinsy: „rifle” lub „levi-straussy”. Młodzież na całym świecie chciała zmieniać codzienny, szary świat na lepszy, bardziej kolorowy, bez wojen i przemocy.

Wszyscy młodzi ludzie byli przeciwni amerykańskiej agresji w Wietnamie, nieludzkiemu traktowaniu ludności cywilnej, paleniu napalmem dżungli i ludzi. Podziwiano opór Wietnamczyków i ich wytrwałość w walce z równie potężnym, co zbrodniczym agresorem. Bardzo budującym było to, że w samych Stanach Zjednoczonych Ameryki istniał bardzo silny ruch antywojenny. Wszyscy znali takie nazwiska jak Joan Baez czy Bob Dylan. Dla większości polskiej młodzieży hippisi nie byli tylko narkomanami zbierającymi się w komuny, w których uprawiano wolną miłość, lecz przede wszystkim pacyfistami, przedkładającymi wolność, przyjaźń i kwiaty nad wojskową, tępą dyscyplinę i karabiny. Powszechnie znane były nazwy takich miejscowości jak Da Nang, Hue i Saigon. Znano i podziwiano niezłomnego wietnamskiego przywódcę Ho Chi Minha. Opinią światową wstrząsały takie wydarzenia jak zbrodnia w My Lai i publiczne egzekucje schwytanych partyzantów Wietkongu.



Na cześć jednego z tych głośnych partyzantów Jane Fonda dała swemu synowi na imię Troi. W pokoju, który dzielił ze swym bratem, wisiała na drzwiach duża mapa Wietnamu, kupiona w księgarni na placu Obrońców Stalingradu (dzisiaj to plac Ratuszowy), na której zaznaczał strategiczne miejsca. Opinia publiczna była po stronie Dawida, który stanął do walki z Goliatem.

Młodzieniec, o którym opowiadam i z którym się identyfikuję, miał wówczas 15 lat. Mieszkał w czteroklatkowym bloku mieszkalnym na osiedlu Piaskowa Góra. Do szkoły dojeżdżał autobusami i trolejbusami. W tamtym czasie, poza szkołą, bardzo ważne były dla niego jeszcze dwie, inne sprawy: malarstwo i muzyka. Wspominam o tym często w innych opowiadaniach, nie będę więc mówił o tym szerzej. Wielkim problemem zaczynał być dla niego własny wygląd zewnętrzny. Zaczynał się czas dojrzewania, pojawiły się pryszcze, z którymi bezskutecznie walczył, włosy się szybko przetłuszczały, grzeczna fryzura na boczek wkurzała go, ale nie umiał inaczej się strzyć i czesać. Mocno zwątpił w swój wygląd zewnętrzny, nie tylko nie akceptował go, ale wręcz wstydził się swojej gęby. Do tego szybko zaczął mu się psuć wzrok – dojechał aż do minus 5 dioptrii i musiał już stałe nosić okulary. Było to szczególnie denerwujące na lekcjach wychowania fizycznego – próbował ćwiczyć bez okularów, ale to nie zawsze

miało dobry skutek. W efekcie stracił pewność siebie i raczej chował się w cieniu, nie angażując się w życie rówieśników.

To wcale nie znaczy, że unikał sportu i ruchu. Co to, to nie. Bardzo lubił włóczyć się po okolicznych lasach. W Górach Wałbrzyskich naprawdę jest gdzie wędrować; są wspaniałe, dobrze oznaczone trasy turystyczne, ruiny zamków i schroniska. Problemem były tylko trudności komunikacyjne; samochody osobowe były wtedy wielką rzadkością, autobusy nie wszędzie docierały i nie zawsze kursowały o dogodnych porach. Dlatego wraz z bratem, a czasami i z siostrą, wędrowali po okolicznych górach i lasach, gdzie tylko mogli dotrzeć.

Nie było to zbyt trudne. Wałbrzych to miasto rozciągnięte wzdłuż kilku kotlin górskich biegnących pomiędzy pasmami wzgórz, wznoszących się po obu stronach głównych traktów komunikacyjnych. Wystarczy jednak odejść tylko nieco w bok od tych głównych ulic i już wkracza się do innego świata - z przemysłowego, często szarego miasta trafia się do zielonego lasu lub na łąki i pola na górskich stokach.

Najpierw spenetrowali okolice Piaskowej Góry. Poznali dokładnie cały obszar wzgórza Giedymina – od Piaskowej Góry do Szczawna Zdroju. Tuż pod szczytem wzgórza Giedymina znajduje się wielki staw z betonowym bunkrem na wysuniętym cyplu, a obok można było zobaczyć pozostałości skoczni narciarskiej. Na szczycie, tam gdzie niedawno ustawiono nową, stalową wieżę widokową, widoczne były jeszcze ruiny dawnych zabudowań Wilhelms Höhe - restauracji z tarasami widokowymi dla kuracjuszy ze Szczawna Zdroju.

Potem zbadali lasy rozciągające się od skrzyżowania ulicy Wrocławskiej z ulicą Piotrowskiego, odchodzącą w stronę Poniatowa. To tam właśnie znajduje się duża góra piasku, wykorzystwanego pierwotnie w pobliskiej Hucie Szkła „Lustrzanka”. Ta góra piasku najpierw dała nazwę niewielkiej dzielnicy pomiędzy Starym Zdrojem a Szczawieniem, a później, w czasach Gomółki i Gierka, dużemu, nowemu osiedlu mieszkaniowemu. Lasy, które tam się zaczynają ciągną się przez wiele kilometrów porastając takie wzgórza jak Czarnota, Ptasia Kopa i Lisi Kamień. Można z nich zejść do Poniatowa, na Stary Zdrój a nawet dojść aż do Rusinowa i Kozic. Następnym terenem do odkrycia był obszar wokół Książa, Lubiechowa i jeziora Daisy. Nazwa jeziora, powstałego po dawnym kamieniołomie wapieni, pochodzi od imienia ostatniej pani na zamku Książ – Daisy Hochberg von Pless.

W parku książęńskim, od strony Pełcznicy można było dostać się do podziemi wykonanych w czasie wojny przez więźniów obozu w Gross Rosen, gdzie w korytarzach pozostały jeszcze tory kolejowe prowadzące w głąb góry. Nigdy nie zdołaliśmy ich zbadać do końca, były zbyt rozległe. Za to chętnie wędrowaliśmy dzikim, wyrwanym i wyrzeźbionym w skałach przełomem Pełcznicy. Tam u dołu można zobaczyć monumentalny, prastary pomnik natury, czyli cis „Bolko” -, a po wspięciu się na górę malownicze i tajemnicze ruiny „Starego Książa”.

Pamiętną była wyprawa do pobliskiego zamku Cisy. Nasz bohater wybrał się tam wraz z bratem, częstym towarzyszem jego wycieczek. Ze średniowiecznego zamku pozostały co prawda tylko fragmenty, ale i one były bardzo interesujące. Do Szczawna Zdroju młodzi wędrowcy dojechali autobusem, dalej maszerowali pieszo. Przez wzgórze Ułanów Nadwiślańskich (tam w 1807 roku miała miejsce potyczka oddziału polskich legionów walczących po stronie Napoleona z wojskami pruskimi) zeszli do wsi Struga, gdzie wznosi się duży budynek pałacu Czteryków - wtedy zajmowany przez miejscowy PGR.

Idąc wzdłuż płynącego tam potoku Czyżynka chcieli dotrzeć do podnóża zamku, celu ich wyprawy. Wędrowali spokojnie, aż w pewnym momencie, przedzierając się przez nadbrzeżne krzewy, znaleźli w zaroślach resztki jakiegoś niemieckiego munduru wojskowego a obok hełm, bagnet z częściowo spróchniałą, drewnianą rękojeścią i pas z metalową klamrą, na której widniał orzeł ze swastyką i napis „Gott mit uns”. Oczywiście było, że przed końcem

wojny musiał to porzucić jakiś uciekający, lub ukrywający się żołnierz niemiecki. Struga przed wojną nazywała się Adelsbach, czyli Potok Adeli. Jak się później dowiedziałem to stamtąd pochodził jeden z ostatnich komendantów Festung Breslau.

Latem dzieciaki z osiedla pędziły gromadnie na odkryty basen do Szczawna Zdroju, wybudowany jeszcze przez Niemców. Najkrótsza droga z Piaskowej Góry prowadziła przez pola i ogródki, gdzie dzieci bez pytania „częstowały się” czereśniami i jabłkami, papierówkami. Płoty i ogrodzenia raczej im w tym nie przeszkadzały. Basen był ogrodzony, trudno było tam wejść bez biletu, ale niektórym się to udawało. Basen miał brodzik, dwie głębsze niecki z trampoliną oraz budynek przebieralni z prysznicami. Wokół niecki rozciągał się dobrze utrzymany trawnik, pełniący rolę plaży. Latem na basenie było zawsze tłoczno, trudno było pływać. Tylko niektórzy odważali się skakać z trampoliny.

Zimą też się nie próżnowało. Pierwsze narty nasz młodzian dostał w grudniu 1969 roku. Były to „samoróbki” fachowo sporządzone „po godzinach” przez pracowników modelarni Huty „Karol”. Błazane okucia miały tylko noski i zapiętki, do których buty mocowało się za pomocą skórzanych pasków z klamerkami. Spód nart smarowało się świecą i już można było ruszać na popularną Kozią Górkę. Dzisiaj jest to już teren zabudowany, ale dawniej były tam rozległe łąki opadające dość stromo od miejsca, gdzie stoi kościół Najświętszej Marii Panny, do wąwozu biegnącego w stronę ulicy Wrocławskiej. Zimą cała dzieciarnia z okolicy zbierała się tam aby ostro pojeździć na sankach. Narty były rzadkością.

Kiedy już nieco opanował technikę poruszania się na swych nartach, dzielny narciarz wyruszał na wzgórze Giedymina, skąd zjeżdżał się do wspomnianego, bardzo długiego wąwozu opadającego stromo prawie do ulicy Wrocławskiej. To była jazda. Nie było mowy o żadnych skrętach, pędziło się na wprost i tylko ewentualnie lekko hamowało. Zwykle był to tylko pojeźdźczy zjazd, bo nikomu nie chciało się ponownie drapać pod górę, a żadnego wyciągu przecież nie było. Skręcanie takimi nartami było naprawdę trudne. Przekonał się o tym jego brat, kiedy zjeżdżając na podobnym sprzęcie wąską dróżką prowadzącą pomiędzy ogródkami, wbił się w ich drewniane ogrodzenie tak nieszczęśliwie, że porządnie skręcił nogę. Powrót do domu wyglądał dość komicznie - na jednym ramieniu nasz narciarz niósł dwie pary nart – te drugie lekko uszkodzone, jednocześnie drugą ręką podtrzymując brata, który kuśtykał na jednej nodze. Takie były w tamtych latach narciarskie wyczyny.

W trzeciej klasie technikum obudził się wreszcie z tego już zbyt długiego letargu. Dotarło wreszcie do niego, że chcąc czegoś w życiu dokonać trzeba się wreszcie uczciwie zabrać do nauki. Wielką w tym była zasługa wspaniałych profesorów pracujących w tej szkole. Na zawsze zapamiętał dwie panie: panią Apolonię Litwińską – mistrzynię krajową w szachach, która reprezentując sekcję szachową Górnik Wałbrzych, w 1961 roku wywalczyła tytuł mistrzyni Polski. W Technikum Budowlanym nr 2 pracowała z wielkim oddaniem jako polonistka. Potrafiła pokazać młodzieży piękno polskiego języka, umiała zmusić ich do dyskusji, a nawet kłótni na temat postaw bohaterów omawianych lektur. Nie narzucała im swego zdania ani obowiązujących opinii.

W trzeciej klasie zmienił się nauczyciel matematyki. Kiedy posadę matematyczki objęła pani Ciuryłło szybko przekonali się jak wiele zależy od umiejętności nauczyciela. Ciuryłłowa, jak o niej mówili uczniowie, na początku była po prostu przerażona poziomem naszej matematycznej niewiedzy. Ale ostro wzięła się do pracy i w końcu nauczyła nas myśleć. Dla odmiany fizyk, pan Skoczył, raczej nas przerażał, jego ostrość i zasadniczość bardziej paraliżowała, niż zmuszała do myślenia. Odpoczywaliśmy na lekcjach rysunku, które prowadził wałbrzyski plastyk pan Sendera.

Podczas dużej przerwy chłopaki wychodzili na papierosa poza ogrodzenie szkoły, zwykle wystawiali i kopcili w bramach sąsiednich kamienic. To nie było wówczas niczym dziwnym - palili prawie wszyscy, niepalący byli wyjątkami. Najpopularniejszymi papierosami były „Sporty” i „Klubowe”, bardziej eleganckimi były „Piasty” i „Carmeny”. Niektórzy próbowali palić w szkolnych ubikacjach, ale bardzo szybko z tego rezygnowali. Wychowawca klasy, do której chodził nasz młodzieniec, pan Sztajnhauzer, skądinąd fantastyczny i dobry człowiek, miał dość radykalne metody wychowawcze. Gdy delikwent został przez niego przyłapany na paleniu w ubikacji, najczęściej wylatywał stamtąd z hukiem po zarobieniu solidnego kopniaka. Dlatego w szkole raczej się nie paliło.

Nie samą nauką żyją młodzi ludzie. Ich szkolny wykonawca dobrze o tym wiedział, dlatego podsuwał im różne, bardziej lub mniej udane pomysły. Pomysł, aby stworzyć zespół chórny, nie chwycił, ale do kolejnego pomysłu, żeby samodzielnie zarobić pieniądze i przeznaczyć je na zorganizowanie w czasie wakacji letniego obozu, większość się gorąco zapaliła. Wychowawca, działając z ramienia szkoły, zawarł odpowiednią umowę z kierownikiem PGR w Strudze. Mieli wziąć udział w wykopkach ziemniaków, ale w końcu całą klasę skierowano do zbierania z pola i oczyszczania z liści buraków cukrowych; to było pilniejsze. Przepracowali dwie pełne dniówki. To wcale nie była łatwa praca, ale zarobili tyle, że wyjazd na letni obóz wędrowny stał się naprawdę realny. Wszystkie formalności i rozwiązania organizacyjne wziął na siebie wychowawca, który miał jechać wraz z nimi.

Czas płynął; jakoś dobrnęli do końca roku szkolnego. Nie wszyscy mogli wyjechać na te tak oczekiwane wakacje, ale i tak ostała się spora, kilkunastoosobowa grupa. Obóz był fantastyczny. Nasz gagatek siedział jak na szpilkach czekając na wyjazd. Latem pryszczki już tak nie dokuczały, był więc w znacznie lepszym nastroju i nieco bardziej pewnym siebie. Matka uszyła mu fantastyczną koszulę w kwiaty, włosy miały już odpowiednią długość, a do tego wraz z Januszem kupili sobie białe czapki „łodziary” – ówczesny szczyt młodzieżowej mody. Do Wałcza dojechali pociągiem zajmując w wagonie kilka przedziałów, lecz później cały sprzęt obozowy, wypożyczone namioty, plecaki i gary targali już na własnych plecach, wędrując ochoczo po terenach dawnego „Wału Pomorskiego”. Biwakowali w Złotowie i w Jastrowiu, gdzie mogli do woli pływać w miejscowym jeziorze. Zwiedzili ruiny potężnych żelbetowych umocnień i bunkrów, których zdobycie pochłonęło tak wiele ofiar w czasie II wojny światowej. Przy wieczornym ognisku opowiadali im o tym zaproszeni kombatanci. Nie było w tym nic sztucznego – to nie była żadna sztywna akademicka – wszyscy, i starzy wojacy i młodzi uczniowie, byli bardzo wzruszeni.

Na obozie, jak to na obozie, nie obyło się bez pewnej afery. Dziewczyny miały swoje namioty, chłopcy swoje. Ale wieczorami wszyscy siedzieli razem i gadali, słuchając radia tranzystorowego, które zabrał Janusz. W pewnym momencie narodził się pomysł, aby poprawić sobie humory wódeczką. W Złotowie po cichu zaopatrzyli się w „gorzką żołądkową” i czekali na odpowiednią okazję. Okazja, owszem, nadarzyła się, ale profesor zepsuł zabawę. Zorientował się co młodzi szykują, zarządził apel i zbiórkę w szeregu. Długo nie mówił, poprosił o wystąpienie jednego z nich (trafiło na Marka, zwanego „Miśkiem”), wręczył mu zarekwirowaną butelkę i kazał wylać jej zawartość na ziemię. Misiek widocznie cierpiał, ale posłusznie wykonał polecenie. Nikt nie miał do niego o to żalu. Profesor też był w porządku, zapomniał o całej sprawie i nigdy o niej nie wspominał. Wszyscy wrócili do Wałbrzycha zadowoleni i wypoczęci.

Jak już powiedziałem od trzeciej klasy technikum nasz ancymon zaczął wreszcie poważniej traktować naukę. W kolejnym roku do programu szkolnego weszły przedmioty zawodowe, zgodne ze specjalnością ich rocznika: „Dokumentacja techniczna w budownictwie”.

Kiedy do przedmiotów nauki dołączyło projektowanie architektoniczne i budownictwo ogólne obudziła się w nim ciekawość, w jaki sposób powstają te wszystkie budowle przemysłowe i mieszkalne, w jaki sposób, z czego i jak się je wykonuje. Uczniowie tego rocznika mieli przede wszystkim posiadać umiejętność kreślenia i czytania projektów technicznych wszelkich budowli. Uczono ich także podstaw projektowania budowlanego i konstruowania budynków.

Zmieniał się charakter młodego człowieka, nie wierzył już we wszystko co mówiono i pisano, doroślał. Widział zmęczenie i coraz większe zniechęcenie ojca, matka również musiała pójść do pracy - przecież w domu była trójka uczniów mających coraz większe potrzeby. Pracowała ciężko, najpierw w Odzieżowej Spółdzielni Pracy im. Ludwika Waryńskiego a potem w Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Rafio”, w szwalni, w systemie akordowym. Osiem godzin szycia jednakowych elementów ubrań, jakichś rękawów, patek, czy kołnierzyków to naprawdę ciężka i otępiająca praca. Matka wracała do domu bardzo zmęczona. Ojciec po pracy w hucie, gdzie miał już lżejszą pracę jako magazynier, maszerował do ogrodu i wspomagał rodzinny budżet sadząc i uprawiając na 400 metrach kwadratowych najrozmaitsze warzywa (nawet ziemniaki i fasolę) oraz zbierając owoce. Były tam 2 jabłonie, 2 grusze, 2 czereśnie i chyba 13 wiśni. Poza tym był także agrest, porzeczki i truskawki.

W czasie wakacji 1971 roku wspólnie z ojcem postawili w ogrodzie elegancką, drewnianą altankę. Posiadała okienka we wszystkich ścianach i drewniany dach pokryty, jak trzeba, papą. Często tam przesiadywał. Miał tam luksus: stolik, fotel, ławeczkę i leżankę. Zrobił sobie tam pracownię artystyczną.

Były wakacje, ale czas się jednak dłużył. Kolegów miał niewielu, głównie ze szkoły: Heniek, Janusz nazywany Jaśkiem i Irek zwany Długim. Często spotykali się w klubie MPIK-u, ulubionym miejscu spotkań wałbrzyskiej młodzieży. Ale na co dzień stałą trasą była droga z domu do ogródka i z powrotem. Nudził się jak mops. Dla zabicia czasu odwiedzał tych niewielu przyjaciół, którzy mu zostali, między innymi Olę. Ola to ważna postać, można powiedzieć stara znajoma, znali się bowiem od podstawówki. W ostatnich latach szkoły podstawowej podkochał się w niej i ona o tym doskonale wiedziała. Potem trafili do tego samego, "kochanego" Technikum Budowlanego nr 2 w Wałbrzychu, w dodatku do tej samej klasy – od września miała to już być Vb.

Ale jeżeli chodzi o dziewczyny, to wtedy bardziej zainteresowany był inną, szkolną koleżanką – Justyną. Piękna i miła dziewczyna. To ona zdobyła dla niego stary kapelusz swego ojca, z którym wyruszył na wyprawę „Autostopem”. Swoją drogą był z niego jakiś dziwak. Widział dziewczynę przez cztery lata, prawie dzień w dzień, i nic, aż tu nagle dostrzegł ją - spadło to na niego jak grom z jasnego nieba. Wszystko zaczęło się właściwie od prywatki u niej. Wspaniale się bawili, prawie cały czas razem. Potem była inna prywatka i podobne towarzystwo (Ola, Helena, Halinka i oczywiście Justyna, a z chłopców też była dobrana paka: Jasiu, Heniek, Gutek - kpiarz nie lada i spec od napojów wysokowych, brat Justyny i kolega Oli). Potem była restauracja „Polonia” na Placu Grunwaldzkim, gdzie odbywały się tak zwane „fajfy” (do 22⁰⁰) i dancingi. Tam znów się razem porządnie wytańczyli. Wielkim szczęściem było móc tak się z nią okręcać.

W takich sytuacjach świat staje się piękniejszy i wydaje się, że wszystko jest możliwe. Jako pełen nadziei młody człowiek, również mocno wierzył, że i w Polsce sytuacja wreszcie się poprawi. Za parę lat skończy studia, potem brat i siostra zaczną pracować i wreszcie rodzina dorobi się na tyle, że będzie można kiedyś wybrać się do rodziny, do Francji, tak jak obecnie oni

przyjeżdżają sobie od czasu do czasu do nas. Wyobrażał sobie, że wówczas, kiedy będą próbować czymś nas częstować lub obdarowywać, odpowie się im grzecznie: "Dziękujemy, nie trzeba, w Polsce mamy tego w bród".

Kiedy do władzy doszedł Edward Gierek, podobnie jak wielu innych optymistów wierzył, że gospodarka w Polsce ruszy wreszcie z kopyta, i u nas także będzie można nareszcie mówić jeżeli już nie o dobrobycie, to przynajmniej o zaspokojeniu wszelkich podstawowych potrzeb. I żeby, holender, prawdziwego robotnika w końcu było stać na kupno jakiegoś małego samochodu. W tym czasie dużo o tym mówiono. Zapowiadano, że w 1975 roku ruszy produkcja popularnego, małolitrażowego samochodu osobowego, przeznaczonego właśnie dla zwykłego robotnika. Rzeczywistość była jednak bardziej przyjemna i brutalna.

Pod koniec wakacji opanował go jakiś podły nastrój. Zaczęły mu się podobać wiersze, takie jak choćby ten:

...Ujrzałem ciebie dzisiaj, pod niebem w pogodzie,
Przechadzałaś się długo przy płynącej wodzie.
Tam i sam, i dokoła, tęskna wśród milczenia
Zwracałaś wzrok i głowę, i tęskne spojrzenia.
Ukryty wśród listowia jakby na uwięzi,
Ledwie śmiałem przeskoczyć na gałąź z gałęzi.
Lękając się zdradnego wietrzyka podmuchu
Samotny się skarżyłem sam sobie bez ruchu,
Że nie mogę zejść z drzewa, gdy niebo w pogodzie,
I przechadzać się z tobą przy płynącej wodzie...

Dawno temu napisał to niejaki pan Andre Chenier (1762 - 1794). Podobał mu się nastrój tego wiersza. Postanowił, że każdego miesiąca będzie kupować przynajmniej jedną książkę, możliwie najtańszą i w ten sposób stworzy sobie własną bibliotekę. Nie zaczynał od zera. Miał na półce już książki takich autorów jak: A. Dumas, J. London, E. Hemingway, M. Gorki, J. O. Curwood, Żeromski, Voynich, Prus, Sienkiewicz, Wyspiański i Reymont. W sierpniu kupił jeszcze „Opowiadania” Conrada i "Przygody Tomka Sawyera" Twaina. W księgarni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, czyli w bardzo popularnym MPiK-u, ogłoszono zapisy na subskrypcję Encyklopedii Powszechnej w IV tomach. Wpłacił pierwszą ratę, która wynosiła sporo, aż 300 złotych.

W ostatniej klasie technikum pozostało tylko 29 uczniów, chłopców było 12. Zanim zdążył zabrać się do nauki, w pewną wrześniową sobotę trafiło mu się wesele, na którym był drużbą panny młodej. Panną młodą była córka dawnej koleżanki matki. Młodzi wzięli ślub w Wałbrzychu, ale przyjęcie weselne odbyło się w Karpaczu, dokąd gości dowieziono autokarem. Na miejscu, po przydzieleniu gościom pokoi, było już tylko jedzenie i zabawa. Na wstępie podano rosół i kurczaki - tłuste, żeby potem można było wypić i potańczyć. Tańczył głównie z druhną Danusią (II rok prawa) i wszystko było dobrze dopóki orkiestra grała znane, aktualne kawałki. Kiedy jednak zaczęto grać jakieś polki i oberki stanął jak kołek, nigdy czegoś takiego nie tańczył. Próbował jakoś sobie z tym radzić, ale szło mu bardzo niezdarnie. Wtedy nagle usłyszał: - Odbijany. To była mama, która pomogła mu pojąć, o co w tych tańcach chodzi. Kiedy później znowu tańczył z druhną, radził już sobie znacznie lepiej. Wtedy, na tym weselu, po raz pierwszy przekonał się na własnej skórze do czego może doprowadzić nadmiar wódki. Wśród gości był tam chłopak - nazywano go Olsen, który sprowokował go do głupich zawodów. Nalewali sobie kieliszek za kieliszkiem, z przerwami tylko na taniec. Było gorąco, taniec rozgrzewał jak diabli, jego partnerka też była zgrzana, wyszli więc

na powietrze. Objął ją i pochodzili sobie trochę - to było bardzo przyjemne uczucie. Poza tym noc i wódka dodają odwagi. Spacerowali sobie przytuleni i objęci, całkiem zginęła gdzieś jego straszna nieśmiałość. Trzeba być jednak trochę beczelnym i odważnym. I wszystko byłoby dobrze gdyby nie to, że po powrocie na salę Olsen już na niego czekał. Pili znowu, jednak w pewnym momencie poczuł, że dzieje się coś niedobrego. Zdążył wyjść na tyły budynku, gdzie zwymiotował, a potem jakimś cudem znalazł się u siebie w pokoju. Poleżał sobie dobrą godzinkę zanim był w stanie wrócić na dół, na salę.

Olsen triumfował - wciąż był na nogach, chociaż te nogi miał już jak z waty. W końcu go zmogło, musieli go podobno rozbierać. Danusia poszła spać, a on bawił się z wszystkimi do końca, aż orkiestra przestała grać. Nazajutrz bractwo było skacowane, uganiało się za mlekiem i "Anką", najlepszą wodą mineralną pobieraną z ujęć w Szczawnie Zdroju. Niektórzy znów pili na umór: on już tylko odrobinę i tylko wtedy, kiedy w żaden sposób nie mógł odmówić. W poniedziałek był już w szkole.

W ostatniej klasie zdecydowanie bardziej przykładał się do nauki. Szczególnie zainteresowało go projektowanie architektoniczne. Jednym z zadań, jakie wtedy mieli do wykonania była budowa modelu domu jednorodzinnego. Z dużą pomocą ojca zbudował model domku ze zdejmowanym dachem – po to by móc zajrzeć do wnętrza i zobaczyć podział pomieszczeń. Praca ta została w szkole. Bardzo się zdziwił, gdy po kilkunastu latach zobaczył swój model wystawiony za witryną Wałbrzyskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji przy Alei Wyzwolenia - jednej z głównych ulic Wałbrzycha. Choć, oczywiście nazwiska osoby, która ten model wykonała nie podano.

Poza nauką były też oczywiście momenty wytchnienia. Pewnego razu zorganizował zabawę w swej altanie na ogródku. Budę wystroił jak się patrzy; ustawił tam między innymi swoje ostatnie dzieło - portret młodej Japonki. Prócz tego ozdobił ściany zdjęciem Angeli Davis, znanej działaczki komunistycznej ze Stanów Zjednoczonych i innymi kolorowymi zdjęciami. Pogoda była paskudna - siąpiło, ale dziewczyny mimo tego zgodziły się przyjść i zabawa była świetna. Jako organizator, skombinował elegancki świecznik (w budzie przecież nie było prądu), porządne kieliszki i podładował baterie do radia. Od Jasia przywiózł 5 butelek wina produkcji jego ojca. Było kapitalnie, humory dopisywały. Nawet tańczyli, chociaż trawa była mokra. Panie przyniosły ciastka (o czym gospodarz zupełnie zapomniał), więc było też co przegryźć. Po tym winie owocowym poszło im trochę w czuby, ale dzięki temu było jeszcze weselej.

Prawie wszyscy w klasie należeli do Związku Młodzieży Socjalistycznej (ZMS). Kiedy wybrano go na przewodniczącego koła klasowego próbował coś zorganizować, ale z tym leniwym towarzystwem niewiele można było zdziałać. Kiedy próbował po lekcjach zwołać zebranie, zwykle słyszał:

- Może kiedy indziej, ja dzisiaj mam coś ważnego załatwić.

- No, dobra, ale jak najszybciej, to chyba nie będzie długo trwało, co?

Jedyną rzeczą, która świadczyła o istnieniu ZMS-u była gazetka, którą zresztą sam musiał redagować. Starał się wprowadzić trochę życia do tej organizacji, ale szybko odpuścił. Widząc, że niewiele uda mu się zdziałać, w końcu raz-dwa przeprowadził głosowanie, na podstawie którego wybrano nowy zarząd. Znacznie lepiej udawały mu się prywatne imprezy.

Na zakończenie lata zrobili sobie wieczorem ognisko z pieczonymi ziemniakami i grupowymi śpiewami. Wszystko odbywało się na rolniczej działce przy Ogrodowej, w szczerym polu. Potem, z upieczonymi już ziemniakami, przenieśli się do jego chatki na ogrodzie. Była to już druga uczta wydana w tej rezydencji.

Była piękna jesień. Liście drzew mieniły się wszystkimi kolorami i kiedy zaświeciło słońce naprawdę było na co popatrzeć. Miał wielką chęć wybrać się do lasu, ale nie miał towarzystwa. Nie był aż takim samotnikiem, aby błąkać się samotnie po pustym lesie. Chciał dzielić się z kimś swoimi myślami i wrażeniami. W klasie często czuł się jak zwierz (niegroźny) zamknięty w klatce. W domu słuchał mocnej, bitowej muzyki a do głowy przychodziły mu proste, głupie wierszyki, takie jak na przykład:

Znam Cię już pięć lat, choć nie znam Cię wcale. Jesteś piękna - przecież artysta może się kochać tylko w Ideale. Albo taki:

*Tyle jest pięknych dziewcząt na świecie - ja wciąż jestem sam,
Ale gdzieś, i dla mnie przecież, jest ta, którą spotkać mam.*

W szkole sytuacja była zmienna - raz lepiej, raz gorzej. Powszedni dzień był raczej szary: szkoła i reszta dnia w domu. Jedyne rozrywki to radio i telewizja.

Starał się skupić na nauce, ale różnie z tym bywało. Na Piaskowej Górze otwarto kawiarnię w nowym domu towarowym. Powszechnie uważano, że to piękny budynek. Wzniesiony jako piętrowa konstrukcja słupowa, z dużą ilością szkła i niezłą stolarką, przy tym ciekawie rozwiązana funkcjonalnie. Na piętrze komunikacji nie służył jakiś wewnętrzny korytarz, tylko odkryta, niezabudowana galeria. Tam też znajdowało się wspomniane Cafe Bistro o przyjemnej atmosferze, serwujące niezłą kawę.

Zawsze miał cholerny kłopot z włosami. Żaden fryzjer nie potrafił go ostrzyć tak, jak by sobie tego życzył. Inna rzecz, że te włosy zawsze były do niczego - rzadkie i bardzo szybko się przetłuszczały. Ale to jeszcze można było przeżyć – większy kłopot był z cerą twarzy. Te diabelskie krosty wciąż powstawały na nowo i nie można było ich zniszczyć. A wyskakiwały tylko na twarzy! Szpeciły i odbierały mu resztki pewności siebie. Próbował różnych leków, lecz nic nie pomagało. Dochodziło do tego, że chciał pazurami rozdrapać tę swoją gębę. I jak tu szukać szczęścia u dziewcząt. Nie ma nic gorszego niż widzieć jak się brzydnie.

Tymczasem nieco skomplikowały się sprawy szkolne. Złapał gola na klasówce z przepisów prawnych w budownictwie, profesorka przytapała go na ściąganiu. Miał tylko tę jedną dwóję, liczył więc, że uzyska jeszcze lepsze oceny z odpowiedzi, czy innego sprawdzianu i wszystko będzie w porządku. Tymczasem nauczycielka celowo już go nie pytała. Ewidentnie, Jasiu i oni byli u niej na celowniku. Gdy tylko któryś z nich otworzył usta, zaraz stwierdzała, że przeskaczają na lekcji. Innych już nie zauważała. Byli z nią na wojennej ścieżce. Pewnego razu, w czasie kiedy profesorka odpytywała kogoś przy katedrze, oni przeglądali jakiś nowy prospekt, jednocześnie słuchając zadawanych pytań. Nauczycielka natychmiast spytała Janusza: „O co ja pytałam?”. Chciała go położyć, lecz on doskonale wiedział o co chodzi i płynnie odpowiedział na pytanie. To ją bardzo zdenerwowało. Wyrzuciła ich obu z klasy i kazała zgłosić się u dyrektora.

Dyrektor uśmiechał się tak jak zawsze, wytłumaczył im, że profesorka jest w ciąży, że łatwo się denerwuje i kazał ją przeprosić. Nie zrobili tego, a ona do końca okresu udawała, że ich nie widzi. W końcu, kiedy odeszła na urlop, dowiedzieli się, że obaj na okres mają ocenę niedostateczną. Po prostu dopisała im w dzienniku drugie dwóje i wystawiła 2 na okres.

W grudniu dostali tematy prac maturalnych. Jego temat brzmiał: „Zaprojektować stropodach niewentylowany mając dany rzut i przekrój”. Z początku był tylko strach, potem stopniowo zaczęło się rozjaśniać. W bibliotece miejskiej znalazł materiały o stropie DZ-3, które okazały się bardzo przydatne.

W styczniu była studniówka. Zrobił trzy karykatury profesorów, które wywieszono, obok innych na ścianach sali. Profesorowie bawili się kapitalnie; w takiej roli jeszcze ich nie widział.

Wciąż nie miał dziewczyny, na studniówkę poszedł z koleżanką z klasy. Aż kiedyś na zabawie w pierwszym ogólniaku (chłopcy z technikum byli tam zaproszeni) poznał nową dziewczynę. Początkowo tańczono przeważnie w kółku. Udało mu się tak dopasować ruchy, aby wpaść w jednakowy rytm z tańczącą obok dziewczyną. Przy wolniejszych kawałkach bawiono się już parami i bardzo fajnie mu się z nią tańczyło. Blisko siebie, przytuleni, kręcili się wolno. Do końca zabawy tańczyli już razem. Po zabawie odprowadził ją do domu; mieszkała na Podgórzu, aż za ZMS-em. Właściwie to jeszcze Śródmieście, ale cztery budynki dalej już Podgórze. Stojąc w bramie porozmawiali trochę i umówił się z nią na kolejne spotkanie. Nie była wysoka (168), bardzo miła, sympatyczna i ładna. Czy piękna? – trudno powiedzieć. To nie ten typ co Hela, która poza urodą miała jeszcze to coś, czego nie można dokładnie opisać. Na pierwszym spotkaniu chciała iść do kina, ale, na szczęście, zostały tylko miejsca fryzjerskie (2 rząd), wobec czego poszli do kafejki przy MPiK-u. Bardzo lubił to miejsce; jasne, nowoczesne wnętrze i fajna atmosfera. Siedzieli sobie w kącie i gadali, gadali, gadali. Nie był zbytnim gadułą, ale z nią jakoś poleciało. Siedzieli do ósmej przy jednej kawce.



Dowiedział się, że ma na imię Martyna, chodzi do III klasy liceum ogólnokształcącego nr 1 w Wałbrzychu, nie pali, za kawą nie przepada (ale wypija), ma rodzeństwo: brata i siostrę. Nieźle się uczy, poza tym śpiewa w chórze w GDK-u. Znowu wracali „pieszkom” aż pod jej dom. Stara kamienica. Pokazała mu podstawówkę, gdzie się uczyła i jedyną gruszę na brzydkim podwórku. Przyniosła mu szczęście; dobrze napisał klasówkę z fizyki, dostał +4 z ekonomiki i architektury, nieźle napisał też kartkówkę z matematyki. Miło gdy wiesz, że ktoś o tobie naprawdę myśli. Byli razem na prywatce u jej koleżanki. Ślicznie wyglądała, miała piękną zieloną sukienkę. Pościskali się trochę w tańcu; całował przelotnie jej włosy, uszy, skronie. Wyjeżdżała na jakiś koncert do Świdnicy (śpiewała w chórze) skąd przysłała mu kartkę pocztową z tekstem: „Mój nieśmiały Panie. Jestem z zasady słowna, więc przesyłam widokówkę z pozdrowieniami. A do soboty aż pięć dni!”. Podkreśliła nieśmiały i aż. Zastanowił go trochę ten „nieśmiały”, więc postanowił przy najbliższej okazji bardziej się ośmielić. Ale i ją trzeba było również nieco ośmielić. Pierwsze pocałunki były jeszcze bardzo delikatne i ostrożne, następne były już bardziej gorączkowe i zachłanne. Chciał przejść do jakiegoś następnego etapu, nie tylko trzymać się za ręce i od czasu do czasu całować się. I to w dodatku tylko wtedy, kiedy ona miała na to ochotę. Czas płynął a on coraz częściej czuł, że nic z tego nie będzie, i wcześniej czy później rozejdzie się po kościach. Nie była namiętną, do tego zero ekstrawagancji. Nie potrafiła się tak przytulić, jak niektóre artystki z naszej klasy. Miała ładne nogi, ale nie potrafiła tego wykorzystać i podkreślić ubiorem. Gdy zakładała ten swój okropny płaszcz w brązową kratę i makabryczny beret, gasiła całą urodę. Ale gdy przychodziła w kurtce, z gołą głową i rozpuszczonymi włosami, przyciągała wzrok mimo piegów. Co poza tym? Zielone oczy, szerokie usta, lubiła koty i sama była trochę jak ten kot. Chciał już zerwać, ale nie potrafił. Na imieniny podarowała mu długopis i paczkę „carmenów”, żeby „ładnie pachniało, kiedy będzie palił”. No i co z taką zrobić? Nie chciał być „ożeniony” jak Jasiu z Bożeną.

Jego ostatnie, szkolne imieniny to był niezapomniany dzień. Na dużej przerwie zaprosił całą klasę do kawiarni w „Sudetach”. Przyszło trzynaście osób – sama śmietanka. Złączyli trzy stoliki i co chwila cała banda wybuchała śmiechem. Wypili po małej kawce i opróżnili chyba pięć

butelek oranżady. „Długi” miał austriackie papierosy, które poszły z dymem, podobnie jak paczka „Sportów” i „Giewontów”. Planowali pomaturalne wakacje.

Uzgodnili, że w czerwcu wyruszą całą bandą gdzieś na wieś, nad wodę, najlepiej w zielonogórskie, aby odpocząć po obecnych trudach i na koniec jeszcze wspólnie porozrabiać.

Na kartce wyrwanej z zeszytu napisali przysięgę potwierdzającą ten zamiar i złożyli pod nią podpisy. Potem każdy obok swego podpisu zostawił odcisk palca wskazującego. Zamiast tuszu użyli atramentu wylanego na pudełko zapalek. Bożena postawiła swój podpis jako świadek. Kelnerka musiała ich przywoływać do porządku upominając, że to nie jest klub młodzieżowy, albo MPiK, tylko lokal pierwszej kategorii, o czym pewnie zapomnieli.

Kiedy wychodzili ktoś zauważył w szatni, tuż przy wejściu do restauracji Mirę Kubasińską i Tadeusza Nalepę z synkiem. Podbiegł do nich, przeprosił i spytał czy zechcą dać im kilka autografów. Zgodzili się chętnie, lecz najpierw chcieli zjeść obiad; wewnątrz była już trójka pozostałych członków zespołu Breckaut. W przeddzień, w piątek, nasz solenizant był na ich występie w sali Górniczego Domu Kultury (wałbrzyskiego GDK-u). Byli świetni, w pełni profesjonalni; to nie taka chałtura jaką w Wałbrzychu odwalili „Trubadurzy”.

W kwietniu praca dyplomowa (przedmaturalna) była skończona. Uważał, że prezentowała się świetnie. Trochę kosztowało opłacenie maszynistki, która przepisała pracę na papierze kredowym, oraz odbitki rysunków, które załatwił w „Dalgazie”. Do tego introligator. Efekt był niezły - fajna, zielona, płócienna oprawa ze złotymi literami: nazwa technikum, napis „Praca Przedmaturalna”, rok szkolny i jego nazwisko na pierwszej stronie.

Męczyło go co ma zrobić z tą Martyną. Była miła, ale to za mało. Trzeba było skończyć, ale jak? Gdyby była namiętna, prowokowała, kusiła, przytulała się, może by to inaczej wyglądało. Trochę bezczelności i ekstrawagancji w zachowaniu, a nawet w ubiorze, nadrobiłoby pewne niedostatki urody. Zresztą nie wiadomo, czy na długo. Zaczęło się od pierwszej poważniejszej sprzeczki, po której odprowadził ją tylko do autobusu, a nie jak zazwyczaj pod dom, gdzie całowali się na do widzenia.

Cenił delikatność i nie potrafił jej nagle powiedzieć: - Wiesz co, mam dość, nie chcę się więcej z tobą spotykać. Dlatego pocałunek na pożegnanie był krótki i dość chłodny.

Później dała mu jeszcze kartkę w formie listu (nawet w kopercie), na której zapisała myśli, jakie naszyły ją przed snem. Pisała jak by go z nią Bóg wie co łączyło. Nie wiedział jak sobie z tym poradzić. Nie było żadnej dziewczyny - było źle, była – jeszcze gorzej. A tymczasem szalała wiosna - pora miłości i tyle pięknych dziewczyn się marnowało.

Po oddaniu prac dyplomowych doborowa grupka szkolnych przyjaciół postanowiła oblać to wielkie wydarzenie. Kupili cztery wina i poszli do lasu. Jak już pewnie nieraz wspominałem Wałbrzych to takie miasto, w którym z każdego miejsca do lasu są tylko dwa kroki. A Stary Zdrój to było dawniej słynne uzdrowisko Altwasser i na skraju lasu było jeszcze mnóstwo dawnych ścieżek spacerowych. Bez trudu znaleźli sympatyczną polankę. W tej doborowej grupie, poza nim, było jeszcze 6 dziewcząt i 3 chłopców: Hela, Ola, Justyna, Irena, Wieśka, Danko, Jasiu, Misiek i Irek. Znali się jak tyse konie, więc było naprawdę luźno. Dziewczyny były wspaniałe, bezpośrednie, nie bały się przytulić, położyć głowę na ramieniu i powyglądać się. On też wreszcie się rozluźnił, nic nie zostało z dawnych zastrzeżeń co do własnego wyglądu. Co to jednak wiosna robi z człowiekiem? Mieli trochę w czubie. Z lasu pojechali jeszcze autobusem do Jaśka. Tam dołączyła do nich siostra Jasia, wszyscy się świetnie bawili, nikt nie został sztywny. Humor podtrzymywało wino porzeczkowe, które Jasiu odebrał ojcu. Oczywi-

ście były także tańce. Tańczył z Olą, tak jak lubił : bliźniutko, przytulając się do siebie, przy zgaszonych światłach. Dawniej, jeszcze w podstawówce wodziła go trochę za nos, ale coś tam chyba po tym zostało, bo chętnie przytulała się do niego. Teraz on prowokował a ona podjęła grę. Zdając sobie sprawę, że wraz z końcem szkoły ich drogi się rozejdą, wszyscy w klasie wymieniali się zdjęciami z dedykacjami na odwrocie. Ola podarowała mu zdjęcie z następującym wierszem:

„Wołałam Cię,
ale wiatr porywał moje słowa,
które nie doleciały.
I śnieg płatkami drobnymi, delikatnymi
Otulał Cię, byś nie słyszał mego wołania.
Błagam Cię,
Omiń śnieg i wiatr
I stań na ulicy mych marzeń
bym mogła rozpocząć szaleńczy bieg
do Twych ramion.”

Bardzo mu się to podobało, tylko nie wiedział jak ma to rozumieć. Ola była ładną, niedużą blondyneczką i nie bardzo jej wierzył, ale to mu wcale nie przeszkadzało. Odwdzieczył się jej słynnym urywkiem z „Beniowskiego”, który napisał mikroskopijnym pismem na podarowanym jej zdjęciu:

„Kłębam dymu niechaj się otoczę,
Niech o miłości pomarzę półsenny.
Czuję jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruję mi znów szumiąc liść jesienny.
Na próżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni! – znów jestem twoim.”

Bardzo był ciekaw jak na to zareaguje? Cofnie się, czy pójdzie do przodu.

Na samą myśl o maturze robiło mu się słabo, nie potrafił zmusić się do systematycznej nauki. Pracował zrywami. Uciekał do przyjemniejszych zajęć. W końcu doprowadził też do rozstania z Martyną. Na prywatce u jej koleżanki nie dopuścił do żadnej najmniejszej czułości, był cały czas bardzo sztywny. Zachowywał się zaledwie na tyle grzecznie, aby nie zepsuć wszystkim zabawy. Bardzo grzecznie i delikatnie wyłożył jej wszystko już przed jej domem. Powiedziała, że domyślała się tego, ale jeszcze się łudziła. Przekonywał ją tłumacząc, że chyba lepiej aby rozstali się spokojnie, niż gdyby miał ją oszukiwać i zachowywać się tak, jak ostatnio. Rozstali się w zgodzie. Mimo tego, długo nie mógł zapomnieć jej oczu, którymi badała go spod brwi. Wtedy jej zielone oczy wydawały się czarne. Był jej wdzięczny, bardzo mu pomogła, wyleczyła go z tego stanu, w jakim był zanim ją poznał. Dzięki niej nabrał trochę pewności siebie, uwierzył w siebie.

Na pewien czas (chyba jednak zbyt krótki) zajął się ostro nauką. Ale jakoś tak bez przerwy przychodziła mu na myśl Ola. Na początku była między nimi wymiana zdań, z których mogło wynikać bardzo wiele lub zgoła nic. Pewnego razu, gdy posiedzieli sobie po południu w kawiarni, w „Sudetach”, odprowadzał ją do domu. Objął ją ramieniem i widział jej zadowolenie. Znali się już od tak dawna - to chyba niemożliwe, żeby między nimi znowu się coś zaczęło – tak mówił rozsądek. Ale chyba oboje nie byli zbyt rozsądni. Dodatkowo zbliżyła ich wspólna

nauka, szczególnie wtedy, gdy nie było z nimi Jasia i Marka. Potem byli już cały czas razem; drażnili się trochę, ale tym bardziej potem tulili się do siebie. Udawała, że broni się przed pocałunkiem, ale postawił na swoim. Boże, co to było za uczucie; nigdy dotąd tak się nie całował. Od tych namiętnych ust nie można się było oderwać. To był szal. Ściskali się z całej siły, zachłystywali się sobą. Nie mógł odejść, pragnął jeszcze i jeszcze.

Obronił pracę maturalną – zdał na pięć. Potem był ostatni dzwonek i już tylko czekanie na maturę. Piękny maj 1972 roku, miesiąc miłości i nauki.

W ciągu ostatnich trzech dni przed egzaminem pisemnym zaczął szaleńczo wszystko powtarzać. Siedział po nocach. Od Jasia pożyczył magnetofon; miał nagrany literaturę i fizykę. Nadszedł wreszcie termin egzaminów. Nie wiadomo dlaczego, w pierwszym dniu naprawdę nie poczuł zbyt wielkiego strachu. Strach nie pojawił się też po wejściu na odpowiednio przygotowaną salę gimnastyczną, ani nawet w czasie samych egzaminów – tym razem stres go nie dopadł i nie sparaliżował. Z polskiego pisał na temat: „U progu dwóch niepodległości - „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego i „Popiół i diament” Jerzego Andrzejewskiego”.

Rozpisał się, bo obie książki bardzo lubił i mocno odbierał. Wielkim zaskoczeniem było dla niego to, co nastąpiło drugiego dnia, w trakcie egzaminu z matematyki. „Polka”, czyli pani Litwińska, podeszła do stolika, przy którym pisał swoją pracę egzaminacyjną, i bez słowa położyła na nim cukierek- czekoladkę. Była to nagroda za to, że pracę z języka polskiego napisał na 5. To było bardzo miłe. Z matematyki była czwórka - napisał wszystko, ale były jakieś braki. Z fizyką było gorzej, ale też fizyki obawiał się najbardziej. Były dwa zadania i temat opisowy - na szczęście na 3 to wystarczyło.

Każdy dzień egzaminów kończyli w „Sudetach”. Gdyby ktoś czegoś nie zaliczył – nie mógł iść świętować do „Sudetów”. Był tam trzy dni pod rząd.

Przed egzaminami ustnymi była krótka przerwa. W przerwie tej zwiedził z Olą różne dziwne miejsca w Szczawnie Zdroju. Najczęściej były to miejsca, w których rosły olbrzymie drzewa i stały nieczynne latarnie. Szczególnie polubili pewną ławeczkę w parku zdrojowym.

Bardzo obawiał się egzaminów ustnych - człowiek jest sam, bez kolegów, bez ściąg, zdany wyłącznie na siebie. Egzaminatorzy mogą człowieka zniszczyć doszczętnie. Na szczęście z polskiego był zwolniony; Heniek i Grażyna też. Potem była matematyka – na prostsze tematy nie mógł chyba trafić, autorzy pytań nie dali mu się wyżyć. Ale za to fizyka wypadła makabrycznie. Pomylił mu się wzór potrzebny w zadaniu i egzaminatorzy musieli go naprowadzać (oświetlenie, $E = k \cdot I / r^2 \cdot \cos \alpha$). Zadania opisowe, to znaczy tematy do omówienia, też wypadły źle, bo akurat tę część miał słabo opanowaną. Miał do omówienia strukturę kryształu germanu - półprzewodniki samoistne, domieszkowe, typu n i p. Drugie zadanie brzmiało: „W jaki sposób Kundt wyznaczył prędkość dźwięku”. Fizyk powiedział, że wiadomości są, ale fragmentaryczne. Bał się bardzo, ale na szczęście skończyło się dobrze. Tylko jednego kolegę oblali na ustnym – niech to prąd popieści, ta wiadomość ścięła wszystkich. Trzeba było jednak się z tym pogodzić, każdemu mogło to się przytrafić, on wcale nie umiał mniej od reszty, miał tylko trochę mniej szczęścia.

Był bardzo szczęśliwy, wszyscy w domu również. Ola, oczywiście również zdała. Pogratulował jej osobno, bardzo serdecznie, ona mu również. Byli przekonani, że nikt nie potrafił tak sobie gratulować jak oni.

Do dnia rozdania świadectw cała paczka świeżych maturzystów myślała tylko o zabawie. Żył się lekko i przyjemnie. Najpierw balowali u Oli, potem u niego w budzie. Wino z winnicy Jasia, swoja paka, placek mamy. Było świetnie. Wracając z ogródka pięknie oświetloną, szeroką

ulicą Wrocławską zboczyli jeszcze na duży plac obok ulicy, tam gdzie dzisiaj jest Park Sybiraków, a wtedy urządzano zimą lodowisko. Na środku placu położyli radio i zaczęli tańczyć. Trzy pary na wielkim, wspaniale oświetlonym placu, tuż obok ulicy. Przejeżdżające samochody się zatrzymywały. Jeden stanął i nie mógł ruszyć, ale tylko dlatego, że miał kłopoty z rozrusznikiem. Wszyscy pomagali kierowcy wypchać samochód na górę, dalej już sam się potoczył.

Była też całodniowa wyprawa po naszych Górach Wałbrzyskich od Harcówki do Andrzejówki. Pogoda i humory dopisywały. Piękna przyroda, wspaniałe krajobrazy, zapach lasu, wiatr prosto w twarz, to znów leśna cisza, piękne skały, strumyki i kwiaty.

Potem była pożegnalna prywatka u Heli – drobnostka 13 osób. Najpierw siedzieli w szopie na ogródku a potem jej mama poprosiła wszystkich do domu. Zabawa była po piorunie, wszyscy chcieli się wyszumieć. Alkohol, papierosy, taniec, muzyka i humor na pięć amperów.

Z Olą starał się nieco ochłodzić temperaturę. Chciał szaleć, wiedzieć, że jest młody, że to jest ten najpiękniejszy wiek. Ola robiła mu jakieś wymówki, ale prawdę powiedziawszy to nawet chciał aby wreszcie się zdenerwowała i wygarnęła mu swoje żale. To pozwoliłoby mu bezboleśnie, nie raniąc, w odpowiednim momencie skończyć tę przyjemną zabawę. Bo z jego strony była to jednak tylko przyjemna zabawa, nic poważniejszego.

Trwały przyjemności i tylko czasami do jego świadomości docierała myśl, że nieuchronnie zbliża się termin egzaminów na wymarzoną architekturę. Z ich klasy tylko jedna osoba – Heniek, który miał najlepsze wyniki w nauce dostał się na studia bez egzaminów wstępnych. Inni chętni, w tym i on, musieli zdawać egzaminy. Mówił sobie: czas bracie na zakuwanie, najwyższy czas. To nie są śmiechy, ile ty masz lat, rodzice nie będą cię ciągle utrzymywać, albo nauka, albo robota, nie będziesz się przecież objąć. Dosyć. Matura była wspaniała ale co dalej?

Chodził na coś w rodzaju kursu przygotowawczego na studia, organizowanego w I Liceum Ogólnokształcącym. Matema, fiza i rosyjski. Roboty było dużo, nie wiedział za co najpierw się zabrać. Poza tym od nauki odrywały go też Mistrzostwa Europy w piłce nożnej i Ola. Nakręcał się słuchając głośnej muzyki, między innymi 11-letniego Michaela Jacksona, który już wtedy potrafił zrobić niezły szal. I tak leciał dzień za dniem. Oglądał w telewizji programy przygotowawcze zrealizowane przez Politechnikę, wykłady profesorów matematyki i fizyki. Czasami ogarniał go strach graniczący z paniką, czuł pustkę w głowie i bał się, że nic nie umie. Ale to mijało. Przecież dobrze zdał maturę, niczego nie wkuwał na pamięć, wszystkie zagadnienia starał się dokładnie zrozumieć. Musi mu się udać.

Zda egzamin na Politechnikę – będzie studiować wymarzoną architekturę a potem zostanie wielkim architektem i rodzice będą z niego dumni.

Świat był piękny, lato gorące, on był młody i pełen nadziei na przyszłość.

I wcale nie przypuszczał, nie wiedział, że był to naprawdę przełomowy moment w jego życiu - teraz miał nastąpić prawdziwy start w dorosłe życie.